

Jakub Kornhauser

Z przemyśleń wędrowca

I

Antoine Watteau

Odjazd na Cyterę, 1717

Ponieważ nikt nie potrafiłby dostatecznie jasno wyjaśnić co magicznego niesie z sobą powab wyabstrahowany z nieprzenikalnej ludzkim okiem mgły, najczęściej przybierający postać tygla uczuć, z którego szerokim strumieniem wypływają opary spełnienia, niosąc ukojenie umęczonym pożądaniem sercom, przyjęto wersję mniej romantyczną i wszelką niezagospodarowaną przestrzeń, co do której zachodziło prawdopodobieństwo istnienia w szeroko rozumianej świadomości społecznej, przekształcano mocą dekretu w pole uprawne, sadząc brukiew i cykorię, niewymagające szczególnych warunków do prawidłowego rozwoju. Aby doglądać upraw prowadzonych w odległych

Jakub Kornhauser, ur. 1984 w Krakowie, studiuje rumunistykę na Uniwersytecie Jagiellońskim; autor tomiku wierszy pt. *Niebezpieczny paragraf* (Rzeszów, 2007); wiersze i opowiadania publikował m.in. w „Kwartalniku Artystycznym”, „Odrze”, „Dekadzie Literackiej”, „Toposie”; mieszka w Krakowie.

zakątkach rzeczywistości, należało jednak udoskonalić system komunikacji lokalnej, naonczas dogorywający w otchłani nierentowności. Roześmiane twarze garnących się do pracy rąk stanowiły wystarczającą zachętę do wytyczania nowych tras, odwieszania kursów, dokonywania starannych przeglądów w taborze, co w krótkim czasie zaowocowało powstaniem solidnej sieci połączeń z idyllicznymi krainami brukwi. Śmigłowce wypełnione po brzegi pałającymi rolniczym entuzjazmem ochotnikami docierały w najdalsze rejony agrokultury, stopniowo ujawniające kolejne atuty, również w dziedzinach zarezerwowanych do tej pory dla wielkich centrów kultury. Szybko okazywało się, że to nie poziom urbanizacji, a czar niewinności był niezaprzeczalną atrakcją, dla której stateczni mieszczenie porzucali dotychczasowe zwyczaje i rzucali się w wir przygód, podróżując niestrudzenie we wszystkie możliwe kierunki akceptowalne przez rozbuchaną wnet imaginację.

Czy smak świeżych warzyw wynagradzał niewygody podróży? Widok pysznie odzianych dam przemierzających zagony w poszukiwaniu dojrzałej cukini stawał się codziennością; pożywny buraczany sok skapywał na spragnione wargi, podkreślając ich różową zmysłowość. Niebawem ludzkość udowodniła swój mobilny charakter: nie było człowieka, który nie pragnąłby zaczerpnąć z bezdenne go źródła namiętności, co doprowadziło w konsekwencji do korekty konstytutywnego pojęcia „być” – teraz należało „być w drodze”, w pogoni za eklogą, jawiącą się jako dostępne na wyciągnięcie ręki przeznaczenie. Łatwość, z jaką cywilizacja dostosowała się do nowych warunków, nie była w stanie nikogo zadziwić.

II

Claude Monet

Dworzec Saint-Lazare, 1877

Kolej żelazna, płosząca jedynie bażanty i kuropatwy, w oczach wielu urastała do monstrualnych rozmiarów, ogniskując w sobie całe zło współczesnego świata, zamiast symbolizować odwieczny pęd ku lepszemu, a choćby nawet zachęcać do podróżowania, skoro zgodnie ze słowami znanego powiedzenia, podróże kształcą. Para buchająca z wnętrza rozgrzanej lokomotywy przywodziła na myśl męczarnie piekielne, zatykano więc uszy i oczy, uciekano w popłochu, porzucano parasole i małe dzieci, by tylko uniknąć dotkliwej konfrontacji z ujadającym potworem. Panowało podówczas przekonanie, niezwykle zresztą rozpowszechnione, że jakakolwiek styczność z tymi

nieziemskimi siłami grozi tragicznymi skutkami, łącznie z wypadaniem zębów i włosów, nie wspominając o chorobach psychicznych. Szczególną ostrożność powinny były zachować kobiety w ciąży, narażone na wstrząsy i hałas. Nowo zbudowane dworce odstraszały potencjalnych pasażerów nie tylko smrodem towotu; nieodparte wrażenie przebywania w paszczy lwa nie opuszczało nawet najodważniejszych. Hale dworcowe stały opustoszałe, omijane szerokim łukiem popadały w niebyt, czym poddawały w wątpliwość samą ideę kolei – środka transportu. Ci, którym udało się wyjść bez szwanku ze śmiertelnego niebezpieczeństwa, tworzyli w opowieściach nieprawdopodobny obraz, pełen krwawych jatek i sadystycznych orgii, czym skutecznie uniemożliwiali merytoryczną dyskusję.

W niektórych przypadkach zaciekawienie wydawało się silniejsze od strachu: pod osłoną nocy nieliczne grupki śmiałków podejmowały dramatyczne próby przeciwstawienia się straszliwemu najeźdźcy, a przynajmniej potwierdzenia swoich złowieszczych przypuszczeń. Co prawda fakty zdawały się przeczyć powszechnym mniemaniom, czyniąc panikę całkowicie nieuzasadnioną, a jednak wizja, wykreowana przez specjalistów od marketingu żyła własnym życiem, spychając poza nawias rozzarowanych niedowiarków. Problem nabrzmiewał, stanowiąc, jak to zwykle w takich przypadkach bywa, pożywkę dla demagogów i ikon popkultury.

III

Maurice de Vlaminck

Ulica w Marly-Le-Roi, 1906

Fenomen czerwonych ulic został opisany dość późno, zdecydowanie zbyt późno, by móc w pełni zrozumieć jego istotę. Naoczni obserwatorzy twierdzą, że pojawiały się one niespodziewanie, powiedzielibyśmy, „wyrastały spod ziemi”, w najmniej oczekiwanych okolicznościach, początkowo budząc zrozumiałą konsternację, która przechodziła płynnie w ogromne zainteresowanie. Niestety, czerwień znikała równie szybko, jak przychodziła na świat. Najwięcej okazji do zaobserwowania tego nadprzyrodzonego zjawiska mieli z pewnością wędrowcy, przeczesujący każdy centymetr kwadratowy rzeczywistości, by odnaleźć sens istnienia, dla nich czerwone ulice stanowiły ważny drogowskaz, dawały zastrzyk nadziei w powodzenie trudnej misji. Ulice karminowe, ulice bordowe, ulice ciemnopomarańczowe, ulice cynobrowe prowadziły zawsze w dobrym kierunku, niezależnie czy w mieście, czy pośród pól i łąk, płonęły

radością, emanowały nieposkromionym żarem prawdy. Usilne próby zaczajania się, podejmowane przez żywiących się sensacją dziennikarzy kolorowej prasy musiały spełznąć na niczym. Rozeźleni, srodze zawiedzeni przedstawiciele mass-mediów znajdowali upust w ogryzaniu kory wiązków, co tylko na pozór wskazywałoby na kłopoty z tożsamością, a tak naprawdę zwiastowało rychłe przewartościowanie skostniałych reguł ekosystemu.

Wizualny efekt towarzyszący pojawieniu się czerwonej ulicy był nieporównywalny, odciskał niezatarte piętno na co wrażliwszych duszach. Pragnienie zatopienia się we wzburzonych falach cynobru prowokowało do czynów szalonych, wyskakiwanie z okien kamienic wydawało się tylko nic nieznaczącym gestem w obliczu rozbuchanych orgii, do których dochodziło, gdy horyzont zaczynał czerwienić się dzióbkami trzcinniczków. Wędrowcy zamykali w swych tobołkach okrucy czerwieni, rozpryskujące się w przestrzeni i od tej pory ich ruchy nabierały pewności.

IV

Chaim Soutine

Champigny, 1942

Oczywiście, nic nie stoi na przeszkodzie, aby wybrać się w podróż do Champigny. Oczywiście, możemy wziąć ze sobą mnóstwo walizek, sterty kufrów i kwintale neseserów. Oczywiście i tak pomylimy drogę, straciwszy zawczasu dwa tygodnie na stanie w korkach.

W Champigny, jak wykazuje niezawodny w takich sytuacjach instytut statystyczny, rosną drzewa. Można je do woli podziwiać, nie ma ich co prawda zbyt dużo, ale za to imponują gabarytami. Korony w chmurach, gałęzie w sąsiedniej miejscowości. Domy w Champigny też jeszcze są, trzy albo cztery. Oprócz rzeki, w gruncie rzeczy mało interesującej, ostała się jedna droga, niezbyt szeroka; uważajmy więc, by pod koła naszego dopiero-co-wypole-rowanego samochodu nie wpadł przypadkiem bezdomny lampart, następna ofiara ekspansywnej urbanizacji, zataczającej maksymalnie szerokie kręgi w jak najmniejszej jednostce czasu. Gdy będziemy mieć szczęście, trafi się nam lampart zarażony szkorbutem, szczególnie potulny, charakteryzujący się miłym w dotyku futerkiem zdobnym w lśniące prążki. Populacja lampartów, po pożarciu wszystkich mieszkańców Champigny, a także ostatnich konserw z paprykarszem, zajęła się tratowaniem tapczanów. Tej czynności oddaje się z upodobaniem do dzisiaj, poszerzając wachlarz zainteresowań o wersalki,

otomany, amerykanki, nie gardząc również fotelami rozkładanymi. Strawa duchowa, jaką żywią się teraz lamparty, w postaci nakładu dzieł Alaina Robbe-Grilleta, wydobytego ostrymi pazurami z opustoszałego antykwariatu, jest nadzwyczaj pożywna, co po raz kolejny udowadnia słuszność tez głoszących niepoślednią rolę literatury pięknej w ubogacaniu życia duchowego każdego z nas, moi mili. Ale nie zawracajcie sobie głowy lampartami, Champigny oferuje wiele innych atrakcji, pośród których zaszczytne miejsce zajmuje zardzewiały diabelski młyn, cieszący się niezwykłą popularnością, zwłaszcza przed pięćdziesięciu laty.

Prawdziwe piękno kryje się w nas samych, pamiętajmy o tym, zanim wybierzemy się w podróż do Champigny.

V

Jean Dubuffet

Paysages du mental, 1950–54

1. Szedłem ulicą. Przede mną szedł mężczyzna z psem. Pies przytroczony był do mężczyzny sznurkiem. Koniec sznurka znajdował się w mocno zaciśniętej dłoni mężczyzny. Drugi koniec spoczywał w okolicach rdzenia zwierzęcia. Pies wydawał z siebie szeroki repertuar odgłosów, świadczących prawdopodobnie o niezadowoleniu aktualną sytuacją ekonomiczną kraju. Pysk zwierzęcia, dysponujący garniturem odpowiednio utrzymanych zębów, na przemian otwierał się i zamykał. Jama ustna mężczyzny, wyposażona w analogiczny niegdyś garnitur, wykonywała ruchy w zamierzeniu podobne, w rzeczywistości jednak znacznie odbiegające od normy prezentowanej przez czworonożnego asystenta. Mimo to wyższość mężczyzny nie podlegała dyskusji, do czego zwierzę wydawało się przyzwyczajone. Wkrótce jednak pies, odchrząknąwszy znacząco, oddalił się w niewiadomym kierunku, zrywając tym samym więzi natury fizycznej z towarzyszem wędrowki.

2. Szedłem ulicą, a wyjątkowo atrakcyjna kobieta, która szła z naprzeciwka uśmiechnęła się do mnie. Odpowiedziałem jej najbardziej promiennym uśmiechem, na jaki było mnie stać tego dnia, ale ona powiedziała: „Nazywam się Jean Dubuffet”. Skonfundowany, nie mogłem dobyć z siebie głosu, wiedziałem bowiem dobrze, że Jean Dubuffet to przecież osobiście znany mi malarz, a w dodatku mężczyzna. Przyjrzałem się jej dokładnie. „Dubuffet?” – zapytałem niepewnie po chwili milczenia. „Tak” – jej oczy uśmiechały się do mnie pożądliwie. Wzięła mnie za rękę i szepnęła: „Jutro

u mnie". Odchodząc, posłała mi pocałunek. W milczeniu śledziłem jej malejącą sylwetkę. Oczywiście, że mogłem krzyknąć: „Ale on umarł dwadzieścia lat temu!”, ale po co.

3. Szedłem ulicą. Z każdym dniem ulice stawały się coraz węższe, kamienice w zubożeniu porzucały szary tynk; raz po raz zatrzymywałem się, zapomniany pomiędzy kruszejącymi stopniami nocy. Światło docierało tu sporadycznie, zwabione skrzekliwymi odgłosami sprzecających się gawronów. Moim oczom, przywykłym do ciemności, ukazywała się wówczas galeria cieni, chaotycznie unoszonych przez jesienny wiatr, a może tańczących przy wtórze moich myśli. Zaułki, za dnia wzbraniające się od niezrozumienia, teraz wychodziły na żer, nagie i bezszelestne.

Jakub Kornhauser